

informato**r**

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

ISSN 1505-8476



nr 210
wrzesień 2006



MITY DO PODUSZKI

Podczas tegorocznego Teleportu miałem przyjemność prowadzić kilka spotkań autorskich; i jeden z pisarzy, rozmawiając z młodymi czytelnikami, zwrócił im uwagę na uniwersalność mitu jako elementu szczególnie frapującego w „kultowych” fabułach.

Coś w tym jest – sam kiedyś też o tym wspominałem... Nie chodzi mi tu nawet o mit w sensie religijnym (w żywych lub umarłych wierzeniach) – ale o mit jako swoisty uniwersalny archetyp ludzkiego doświadczenia i działania (pojedynek „Dawida” z „Goliatem”, opuszczenie znanego sobie świata, dążenie do władzy, los „Kopciuszka” lub „najgłupszego z braci” etc.). Podobne motywy odnajdujemy w baśniach, w literaturze wysokiej, w literaturze popularnej – oraz oczywiście w filmie, komiksie i wszystkich innych sztukach narracyjnych.

Takie podejście „mityczne” powoduje szczególne utożsamienie się czytelnika/widza z bohaterem i jego losem oraz fascynację danym utworem. Wziąć tu możemy za przykład – pozostańmy jeszcze chwilę przy fantastyce – czy Luke’a Skywalker’a z „Gwiezdných wojen”, czy Froda Bagginsa z „Władcy Pierścieni”, czy nawet Harry’ego Pottera (do którego fanów akurat się nie zaliczam; bynajmniej nie z powodu doszukiwania się w nim „czarnej magii”).

Przykładów takich utworów-mitów możemy znaleźć dużo. I to z różnych półek. Antyczne tragedie. Dramaty Szekspira. Dziecięce baśnie. „Nędznicy” Hugo. „Trzej muszkieterowie” Dumasa, „Trylogia” Sienkiewicza. Klasyczny western. Komiksowy Batman. „Władca Pierścieni” Tolkiena. „Gwiezdne wojny” Lucasa, „Matrix” Wachowskich. I wiele innych.

Wyróżnikiem takich mitycznych fabuł są też zwykle bardzo wyraziste, natychmiast rozpoznawalne, sceny wplecione w fabułę – np. Hamlet z czaszką Yorricka, Romeo i Julia w scenie balkonowej, biskup Myriel wręczający Jeanowi Valjean srebrne świeczniki, Gavroche ginący pod barykadą, d’Artagnan mknący po spinki królowej, śmierć Podbiپیęty, Kmicic wysadzający kolumbrynę, Frodo wędrujący z Pierścieniem, Gandalf odmieniający króla Theodena, samotny szeryf wychodzący naprzeciwko czwórki bandytów, Luke walczący z lordem Vaderem, Neo w starciu z agentem Smithem...

Tak, coś w tym jest: takie „zmitologizowane” fabuły jakoś szczególnie zapadają nam w pamięć – oraz tkwią w sercu (i to całkowicie niezależnie od wartości artystycznej danego utworu!).

Przy czym owo zmitologizowanie może czasem (w przypadku fabuł nawiązujących do świata rzeczywistego) nie mieć nic wspólnego z historyczną prawdą. Tak naprawdę – kardynał Richelieu na pewno był lepszym ministrem niż Anna Austriaczka i Ludwik XIII monarchami, a fabułę „Ogniem i mieczem” trudno by było traktować jako obiektywny zapis dramatycznych wydarzeń na południowo-wschodnich kresach I Rzeczypospolitej. Weźmy z kolei „zabójczą dojrzałość westernu”: dlatego właśnie rewelacyjne antywesterny lat siedemdziesiątych tak skutecznie zażyły ów niezwykle popularny gatunek filmowy – bo... odarzy go z mitu!

Obok zmitologizowanej fabuły – spotykamy jeszcze zmitologizowaną przestrzeń. Tak zmitologizowane jest Pomorze w „Wietrze od morza” Żeromskiego, tak zmitologizowane są Kaszuby w „Życiu i przygodach Remusa” Majkowskiego, tak zmitologizowany jest Gdańsk w „Błaszanym bębenku” Grassa, tak zmitologizowany jest Wrzeszcz w „Weiserze Dawidku” Huellego – każdy z Was pewnie podałyby jeszcze wiele bliskich swemu sercu przykładów.

Opowieść prawdziwie mityczna skupia się też raczej na wyrazistym konflikcie, w roju drobnych epizodów – zatraciłaby się; dlatego ja np. uwielbiam „Gwiezdne wojny” w wersji kinowej – a nie chciałbym doczekać składającego się z wielu samodzielnych odcinków-epizodzików serialu telewizyjnego (jaki Lucas, bezwstydnie odcinający sute kupony od swej młodzięcej fascynacji, już podobno produkuje)...

URODZINY

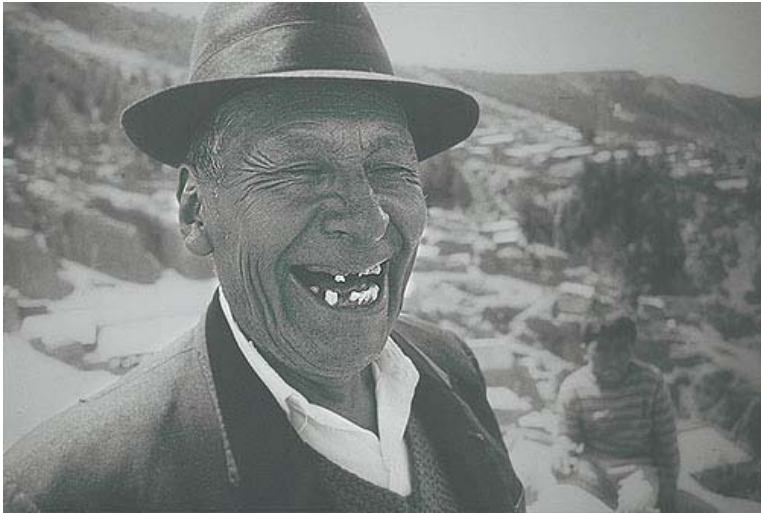
Drodzy listopadowi Urodzeńcy!

Cisną nam się na klawiaturę różne skojarzenia i aluzje, ale nie chcemy psuć Wam humoru przed baśniowym Nordconem, dlatego ograniczamy się do standardowych życzeń wszystkiego najlepszego!

Redakcja "Informatora GKF"

1 Krzysztof Kielichowski
 5 Marcin Grygiel
 8 Piotr Mazurowski
 10 Marcin Rutkowski
 11 Elżbieta Kotlarek
 12 Joanna Piszczek

16 Sławomir Ginter
 26 Jaśmina Kotlarek
 28 Adam Jakubowski
 Małgorzata Stankiewicz
 29 Andrzej Sawicki
 30 Konrad Wawruch



W piątek, 13-go października, w Londynie, zawarli związek małżeński
 Ola Czach i Marcin (Ziembra) Markowski
 Młodej parze życzymy wiele szczęścia, wiele dzieci i wiele funtów
 na nowej drodze życia

GKF

WRZEŚNIOWE POSIEDZENIE ZARZĄDU i RADY STOWARZYSZENIA GKF

Odbyło się 17 września 2006 r. Ważniejsze z poruszanych spraw:

1. Sprawy organizacyjne

1.1. Sprawa przekazania majątku byłego Działu Gier Karcianych do Działu Gier Planszowych i Karcianych: majątek DGK został przekazany. Wystąpiły nieznaczne braki. Protokół zdawczo-odbiorczy zostanie przedstawiony do akceptacji na następnym posiedzeniu ZiRS.

1.2. Reorganizacja Działu Gier Strategicznych

Szef Działu Paweł Kruciński przedstawił plan działania DGS od października br.

1.3. Sprawa tzw. „kar kroczących” za zaleganie z wpłatą składek

Większością głosów postanowiono zawiesić kary kroczące do końca roku.

1.4. Walne zebranie sprawozdawczo-wyborcze w EKFT „The First Generation”

Walne Zebranie odbędzie się 14 września br.

1.5. Sprawa pomocy GKF przy przeprowadzeniu Ulicznego Biegu Przymorskiego.

Prezes podjął się zabezpieczenia odpowiedniej ilości członków GKF.

1.6. Sprawa obchodów XX-lecia GKF

Krzysztof Papierkowski zreferował aktualny stan przygotowań. Współpraca z Uniwersytetem Gdańskim odnośnie organizacji Seminarium „Wszystkie drogi fantastyki” nie przedstawia się najlepiej. Zabiegi będą kontynuowane.

2. Sprawy personalne

2.1. Zmiany funkcyjne

Michał Szklarski zawiesił działalność w Radzie Stowarzyszenia.

2.2. Przyjęcie nowych członków do GKF

Angmar – Paweł Gałązka

Ordo – Lech Ugriczcz

2.3. Urlopy

Paweł Nowak (Angmar) z powodu wyjazdu na III-IV kwartał br.

3. Sprawy finansowe

3.1. Omówiono składkopłatność Klubów Lokalnych w II kwartale 2006 r.

3.2. Zarząd przeznaczył po 200 zł zaliczki na bieżące potrzeby Działów Gier.

3.3. Zarząd postanowił zrefundować przejazd K. Papierkowskiego na konferencję z okazji XXV-lecia ŚKF w Katowicach.

4. Imprezy

4.1. Prezes przedstawił sprawozdanie z realizacji Teleportu 2006 oraz wnioski do realizacji Teleportu 2007.

4.2. Marta Witkowska zreferowała stan przygotowań do Nordconu 2006.

4.3. Omówiono sprawy związane z Polconami 2007 i 2008.

W sobotę, 7 października 2006 r. odbyło się Walne Zebranie Sprawozdawczo-Wyborcze Elitarnego Klubu Fantastyki Totalnej "The First Generation".

Prezesem ponownie została wybrana Ela Kotlarek. Wiceprezesem został Janusz Piszczek, a kwatermistrzem Andrzej Lisowski.



Ruch miłośników fantastyki w Polsce

Konferencja z okazji z okazji XXV-lecia Śląskiego Klubu Fantastyki

Pamiętacie *Bajki robotów* Stanisława Lema? Na Konferencji czułem się jak Klapauczusz, który budował Maszynę Do Spełniania Życzeń, ale Trurl pierwszy ją skończył.

Generalnie odniosłem same dobre wrażenia i tylko jedno zdarzenie było nieprzyjemne.

Ale po kolei. Właśnie kolej! Podróż szybka i tania (bilet weekendowy!). InterCity do Warszawy i po 10 minutach ekspres do Katowic. Wziąłem zaległą fantastykę do czytania (*Łowcy kości* Eriksona) i podróż zleciała, jak „z bicza trzaśł”. Zameldowałem się w MDK „Koszutka” na pół godziny przed rozpoczęciem Konferencji.

Ela Gepfert osobiście wręczyła mi torbę z identyfikatorem, bardzo starannie wykonanym informatorem i kilkoma sympatycznymi pamiątkami. Wokół wiele znajomych twarzy. Dorwałem nawet Jacka Rodka i omówiliśmy pewne zaszczości!

Wspaniała nazwa: KONFERENCJA! Na zwykłą imprezę sponsorów nawet na lekarstwo, ale przy takiej nazwie portfele same się otwierają...

W obszernej sali rozpoczynają się sesje. Biorę udział w panelu o powstaniu klubów fantastyki i opowiadam, jak to z GKFem było. Później pokaz tańców średniowiecznych wykonywanych przez zespół „Lorien”

O 18:30 bankiet! Stoły suto zastawione i szampan do toastów. Po bankiecie, na zewnątrz i o zmroku – tańce z ogniami! Mocna rzecz! Mam nadzieję, że te dziewczęta noszą azbestową bieliznę, bo jak się ręka się omsknie...

Po występie bierzemy taksówkę i jedziemy w stronę hotelu „Skaut”. Robimy stosowne zakupy w sąsiednim „Macro” i drepczemy do hotelu. Jestem w jednym pokoju ze Sławkiem Sączkiem i Kamilem Kacperakiem. Siadamy sobie i gadamy, gadamy. Gdy zapasy się kończą, schodzimy na dół do kawiarni. Pełno tam naszych, ale już późno i zamykają. Wracamy do pokoju w większym towarzystwie. Czuję się zmęczony, więc przepraszam wszystkich i idę w zanurzenie. Jestem stary żołnierz i nie przeszkadza mi głośne perorowanie TAO o pochodzeniu imienia „Sławomir”.

Następnego dnia, przed południem wracamy do „Koszutki” i uczestniczymy w dalszych punktach programu konferencji. Na sam koniec biorę udział w kolejnym panelu o przejawach życia klubowego. Po swoim wystąpieniu żegnam się z całą salą i pędzę na dworzec – mam 30 minut do odjazdu, a trzeba coś jeszcze zjeść.

Powrót identyczny, jak wyżej.

Moje wrażenia: bogaty program, isticie profesjonalna organizacja – cieszę się, że tam byłem.

Zapytacie: a te wspomniane nieprzyjemne zdarzenie? Już o tym piszę: miałem diabelnie pracowitą noc. Śniło mi się, że robię w Power Poincie prezentację. Chyba o SKF, bo w trzech miejscach wstawiałem zdjęcie Eli. Ciągłe wracałem do początku i robiłem poprawki. I tak całą noc. Dopiero nad ranem (tak sądzę) doszło do mnie (ciągle we śnie), że to wszystko mi się śni, więc po jaką cholere tak się męczę... Rano byłem, jak z krzyża zdjęty, jakbym faktycznie przepracował całą noc.

Krzysztof Papierkowski

musiała doprowadzić do spięć, wzajemnych żalów i deklaracji złej woli. Niestety, najwyraźniej wiele osób przybyło na konwent, oczekując pirackiej swobody, a nie marynarskiej dyscypliny, powodując dużo różnych incydentów – od włączania alarmu w zamkniętej części budynku po dość dotkliwie nadużycie alkoholu.



Ochrona i organizatorzy starali się utrzymać porządek i bezpieczeństwo na terenie konwentu, i w zasadzie im się to udawało. Nieco gorzej wyglądała sprawa na zewnątrz (czyli, przypominał, tam, gdzie Konwentowicze wygrzewali murki). Zdarzyły się próby zaczepiania „naszych”

przez „miejscowych”. Słowem – wątpliwości, które podnosiłem przy okazji tegorocznej edycji Teleportu w Gdańsku, zostały przyobleczone w ciało. Obyło się bez nieszczęść, ale ja uważam to za kuszenie losu.

Poza wymienionymi zgrzytami – informatorem, nieco wyższą od przeciętnej liczbą incydentów z uczestnikami, nieciekawą okolicą – konwent, nawet jeżeli określić go jako typowy, należy zaliczyć do tych o wy-sokim standardzie. Co do infrastruktury, to w odległości kilku minut marszu znajdowały się co najmniej trzy lokale gastronomiczne i kilka sklepów. Program był udany, zwłaszcza w części LARPowej i konkursowej. Można było spotkać sławy fandomu – przybyli m.in. Jacek Komuda, Andrzej Sapkowski, Witold Jabłoński, Marcin Przybyłek (nie dotarł natomiast, o ile mi wiadomo, Staszek Mąderek), jak też i ci mniej znani, nie widziani jeszcze nigdy osobiście „znajomi”, których bez tego konwentu zapewne bym nie poznał.

Podsumowując: Niewielkie koszta dojazdu oraz fakt, że programu wystarczyło na te cztery dni, pozwalają mi ocenić konwent jako udany, pomimo pewnych zgrzytów. U-Boot jako maszyna jest niezawodny, lecz, jak to bywa, zawiódł czynnik ludzki.

Sebastian Lenartowicz

FANTASTYCZNA UKRAINA

(część 4 i ostatnia)

FANTASTYCZNY LWÓW

Po zwiedzeniu zamku w Kamieńcu Podolskim ruszyliśmy w kierunku N-W – na Lwów! Po drodze zatrzymujemy się pod zamkiem Świrze. Dziewczyny przygotowują drugie śniadanie, a my przełazimy przez płot i hajda do zamku. Niestety – brama zamknięta na trzy kłódki. Ani żywej duszy – przez judasze w bramie widać tylko, że prowadzona jest renowacja. Pozostaje nam tylko spacer wokół zamku. Gdy wróciliśmy do busika i spożyliśmy dary boże, tj Lidki i Ani, podjechał elegancki wóz i wysiadła para w czarnych skórach (istni cze kiści, brakowało im tylko naganów u pasa). Popatrzyli się na nas podejrzliwie, otworzyli furtkę własnym kluczem i udali się w stronę zamku. Pewnie policzyć wieże – czy którejs nie skradliśmy.



Jedziemy dalej bocznymi drogami. Przejeżdżamy przez miasteczko Bóbrka. Gdzieś tu mieszkają moi krewniacy od strony matki. Sam tu jestem pierwszy raz, ale mój syn Jacek był z dwadzieścia lat temu w odwiedzinach. Opowiadał, jaka to sympatyczna, zadbana miejscina. Teraz to tylko „griaznoje gorodyszko”, a co 50 m widać tzw. „słuchaczy płyt”.

Z Bóbrki już tylko 20 km i wjeżdżamy do Lwowa. Zatrzymujemy się w kolejnym relikwie hotelarstwa radzieckiego, znacznie jednak czystszy niż ten w Kamieńcu, i – co ważniejsze – znajdującym się o rzut kamieniem od Starego Miasta. Od razu, po rozlokowaniu się, ruszamy na zwiedzanie. Czuję się, jak u siebie w domu. Podobnie jak w Gdańsku, co krok wykopki: tu zrywają jezdnię, tam układają nową, a ówdzie odkrywki archeologiczne.



Ania w jakimś dole skręca sobie nogę i dalej z trudem nadążamy za resztą grupy.

A Wojtek nie popuszcza: Katedra Ormiańska ...Arsenał ...Kościół Dominikanów ..Opera Lwowska Wreszcie zachodzimy do stylowej restauracji „U Stefy”.



Wspaniała, dość tania kuchnia. Siadamy przy długim stole i obiadokolacja niespostrzeżenie przechodzi w biesiadę. Wszystko na koszt firmy, tj. Agencji Turystycznej Solaris. Oszczędności z trasy zostały przez Wojtka wydane właśnie tutaj.

Wracamy do hotelu i kontynuujemy. Właściwie to już Zielona Noc. Jest bardzo wesoło – do momentu urwania przez Piotra żyrandola. Tym akcentem kończymy imprezę.

Wstajemy dość późno (ok. 8:00). Po śniadaniu udajemy się na lwowski bazar. Ostatnie zakupy pamiątek i spirytualiów. Następnie jedziemy na Cmentarz Łyczkowski. Wnosimy opłatę za wejście (cmentarz na status muzeum) i odwiedzamy groby wielkich Polaków: malarza Artura Grottgera, pisarza Walerego Łozińskiego, Marii Konopnickiej, Gabrieli Zapolskiej i innych.

Cmentarz Łyczkowski jest jedną z najstarszych nekropoli w Europie. Założono go w 1786 roku. Wydzieloną część stanowi Cmentarz Orłąt Lwowskich.



Mianem Orłąt Lwowskich określa się uczniów, studentów, robotników, urzędników - chłopców i dziewczęta - kilkunastoletnich mieszkańców Lwowa, którzy wobec braku we Lwowie w owym czasie polskich oddziałów wojskowych, umyślnie wysłanych przez austriackie dowództwo w inne regiony Europy, najpierw praktycznie gołymi rękami, później - już ze zdobytą na wrogu bronią, postanowili wyzwolić swoje miasto przekazane przez ustępujących zaborców wojskowym oddziałom ukraińskim ściągniętym celowo do Lwowa.

Lwów był w tym czasie miastem o przeważającej polskiej ludności która stanowiła około 60% ogółu, pozostałą część stanowili Żydzi (ok. 30%) i Ukraińcy (ok. 10%)

Przeciwnikami "Orłąt Lwowskich" w walce o Lwów w roku 1918 byli Strzelcy Siczowi - wojskowa formacja złożona z Ukraińców, stworzona na podobnych zasadach jak Legiony Polskie. [Wikipedia]



Złożyliśmy wiązankę kwiatów przed centralnym pomnikiem. Na mnie największe wrażenie zrobił grób 14-letniego Kawalera Orderu Virtuti Militari.

I już. Koniec naszej wyprawy.

Jeszcze tylko jazda do niedalekiej granicy, oczekiwanie swoje, przejazd do Warszawy i przesiadka na pociąg do Gdańska.

Krzysztof Papierkowski

Historia Pikników Na Skraju Drogi (2)

VI Piknik Na Skraju Drogi Cerkiewnik 25 lipca – 2 sierpnia 1992

*„...ale to już było,
Znikło gdzieś za nami,
Choć w papierach lat przybyło
Tak naprawdę wciąż jesteśmy tacy sami...”*

Takim mottem rozpoczynało się zaproszenie, dla każdego uczestnika jubileuszowego, bo piątego pikniku w Cerkiewniku. Poza tym po raz pierwszy wydrukowano zasady uczestnictwa, w których zawarto, że:

I. MUSISZ

1. Bezwzględnie przestrzegać poleceń leśniczego i organizatorów,
2. Mieć własne miejsce do spania i dach nad głową,
3. Mieć chęć do wspólnego spędzania czasu.

II. NA PEWNO OTRZYMASZ

1. Prawo do odpoczynku według upodobań,
2. Prawo do liczenia na ładną pogodę,
3. Prawo wstępu pieszo do lasu i dostępu do dwóch jezior,
4. Prawo do korzystania ze sprzętu pływającego,
5. Inne atrakcje przewidziane i nieprzewidziane.

Oraz to, co na świecie najświętsze – święty spokój.

Już na samym początku impreza uległa skróceniu z uwagi na zahaczającą terminem „Operation Sail” w Gdyni, dokąd wybierała się spora grupa uczestników. Stan posiadania środków trwałych zwiększył się o parę stołów i ław jak też pomost na jeziorze. Ale najważniejszą budowlą była „stawojka” z podwójnym siedziskiem. Ponieważ okazało się, że jest sporo dzieci stwierdzono, że „im się też coś należy” Kormoranowi z Harcerzem odbiło i zorganizowano parę konkursów m. in. wędkarski oraz wodny - dla dzieci i ich tatusiów. Z powodu skromnego „pięciolecia Cerkiewników” leśniczy otrzymał prezent, na którym wszyscy musieli się podpisać. Prezentem tym była solidna lampa stojąca z dużym abażurkiem. Na przyszły rok postanowiono zakupić gwoździe i deski, które z lubością w ilościach hurtowych zużywa Krzysztof. Decyzją ogółu zakupione zostaną też narzędzia odpowiednie dla tak znakomitego konstruktora. Kiedy doszło do podsumowania efektów budowlanych, niektórzy stwierdzili, że: ... „brakuje tylko glazury na dnie jeziora i chłodziarki do piwa”... Znając Krzysztofa niczego nie da się wykluczyć, więc jeśli znajdzie się kasa i paru ochotników to, kto wie, co będzie za rok...



VII Piknik Na Skraju Drogi Cerkiewnik 17 lipca – 1 sierpnia 1993



Pojawiła się nowa osoba z GKF-u. Normalnie nie było by w tym nic dziwnego, ale to była absolutna ABSTYNETKA. Kasia Manikowska miała jednak dla naszych ułomności duże zrozumienie i częstokroć „nazajutrz” ratowała zdrowie co poniektórych pochodnymi mleka. Poza tym Papier przywiózł sobie oddanego pomocnika i poplecznika. Oboje rozpięli nad długim stołem spadochron. Z tego powodu lało jak nigdy. Doszło do tego, że pewnego wieczora trzeba było pić pod stołem. Zmieściło się tam 15 osób i pół Arniego. Przy stole zostało czterech grubasów, którzy z tego tytułu nadali sobie miano „Nieprzemakalnych”. Uczciwie, żadna kolejka ich nie ominęła. Bic przywiózł Ropuchę i Wieżowiec kombinował nad stworzeniem kijanek. Papier wybudował zmywalnię nad Małą Puplą, jak również – z uwagi na bardzo duży przerób,

przebudował kibel, tak by było na nim wygodniej siedzieć i do tego we dwoje. Ktoś chciał jawnie używać sprzętu grającego. Zgodnie ze zwyczajami i regulaminem Pikniku został odesłany na dno Małej Pupli (oczywiście ów sprzęt). Tam mógł se słuchać do oporu. Conana męczyła zmora w postaci ponętnej afroamerykanki lub innej papuaski. Co jakiś czas podrywał nas do pionu okrzykiem: „czekoladkęęęę!”. Strat nie poniesiono tylko dla tego, że Arnold w poszukiwaniu swojej szczoteczki do zębów odnalazł zęby, które zgubił wcześniej. Wrócił do domu z jednym i drugim. Ania Papierkowska odkryła istnienie kaca.

VIII Piknik Na Skraju Drogi **Cerkiewnik 16 lipca – 1 sierpnia 1994**

Z powodu wzajemnych animozji w lesie (leśników, fauny tudzież flory lądowej i wodnej) początkowo kolejna impreza została zablokowana i miała się nie odbyć. Ale nie trafiło przecież na byle kogo. Od czego pomysłowość. Kormoran dotarł do Ministerstwa i Instytutu Badawczego Leśnictwa. Dzięki czarowi własnemu, kwiatkom i ładnemu uśmiechowi zdobyto sympatię Pani Profesor Dwojga Nazwisk. Uzyskaliśmy właściwy dokument i udało się nadleśnictwo dało zgodę. Wśród tubylców zapanowała konsternacja „a jednak k... załatwili...”. Oczywiście nic za darmo, więc trzeba było nadać imprezie specjalny format, zorganizować jakąś pogadankę z leśnikami i sporządzić z tego sprawozdanie. Mięta z „bubrem”. Tematem była ogólnie pojęta ochrona środowiska, a panujący ówczasie leśniczy Maciek Żurek (zwany czasami Rumcajsem), oprowadził nas po swoim leśnym królestwie szkoląc, co jak rośnie, co z czym można jadać i pod co wypić. Odbyła się gra terenowa połączona z totalnym sprzątaniem terenu wokół Dużej Pupli. Papier wykonał nowy pomost kąpielowy na tejże Pupli zakończony próbą obciążeniową i uroczystym chrztem. Wstęgę (z papieru toaletowego) przecinał Bic piłą motorową, a Matką Chrzestną została Leśniczyna Basia, która dopełniła ceremonii rozbijając o deski pomostu woreczek z piwem, odśpiewaliśmy sto lat, wzniesiliśmy toast i wrzuciliśmy Papiera do wody z nowego pomostu. Chrzest zakończył się ogólną kąpielą zwykłą. (Wieczorem odbyła się kąpiel „ekologiczna”). Jak zwykle komary umilały nam życie jak mogły, trochę na głowę pokapało, ale ogólnie było klawo. Odbył się też mecz siatkówki Białystok vs Reszta Świata. Wygrał oczywiście Białystok. Po powrocie z Cerkiewnika, Pani Profesor Dwojga Nazwisk otrzymała sprawozdanie, oczywiście bez pewnych szczegółów.



IX Piknik Na Skraju Drogi **Cerkiewnik 15 lipca – 30 lipca 1995**

Jak zwykle w drugiej połowie lipca i jak zwykle w Cerkiewniku. Po doświadczeniach z ubiegłego roku leśnicy już nie wnosili sprzeciwu i zaczęli nas jakby doceniać. Namioty rozbiliśmy jak u siebie. Ilość osób w tym roku znowu była zmienna z uwagi na Worldcon w Glasgow, na który wybierała się spora grupa uczestników. Poza tym ten piknik przeszedł do historii jako „Piknik kalek”. W użyciu było wszystko: gipsy, laski a pobliska apteka wyrobiła plan sprzedaży bandaży na dwa lata do przodu. Wiadomo w lesie wystają korzenie, skarpa jest stroma a jak pada to łatwo się poślizgnąć. Na to nie ma mocnych. „Młody” z Olsztyna, (który chciał się



przeplancować do Szwecji i tutaj szukał drogi wodnej), udowodnił, że dla prawdziwego fana nie ma żadnych granic a możliwości wykorzystania hamaka są dużo większe niżby się to wynalazcom i producentom wydawało. Kormoran „pośliznął się na mydle” i na następne dwa lata wybił sobie Piknik z głowy (ale twierdzi, że warto było). Gwoźdecy przywieźli kociaka, a Casia szczeniaka, nie ma to jak życie psa z kotem. W efekcie pies nauczył się miauczeć a kot szczekać. Poza tym było grzecznie. Po kąpieli siusiu i spać.

X Piknik Na Skraju Drogi **Cerkiewnik 15 lipca – 31 lipca 1996**



Nastąpiła era Papiera. W wyniku pobytu Kormorana w szpitalu, (nogi odmówiły mu kolaboracji) Piknikiem rządził Papier. Załatwił, co trzeba a nawet i więcej, w związku z czym po wielu latach pojawiła się osoba z Niu Jorka, czyli Maria Michalczewska – organizator pierwszego pikniku w Cerkiewniku (AD 1988). Oczywiście, Krzysio nie omieszkął wciągnąć ją na członka (GKF-u oczywiście). Pojawił się też Gienio Dębski z młodszą latoroślą Filipem. Maria zajmowała się Filipem, przez co Gienio mógł się poświęcić działalności rozrywkowej. Prowadził więc umuzyycznianie plebsu i zbiorowe chórki ogniskowe. Gry

i zabawy towarzyskie kwitły a niepowodzenia zanikły w oparach niepamięci. Młody jak zwykle tryskał pomysłami, Casia zaś niestrudzenie popierała Papiera w jego budowniczych zapędach. Wzrosło pogłowie dzieci, ponieważ Skorupki dorobili się własnej córki. Doroczne imieniny Anny i Krzysztofa były tym razem dużo huczniejsze. Krzyś był sam, za to Anki aż cztery, zabawa była na sto dwa: Zorba, kaczuszki i inne tańce trwały do białego rana. Dzieciom to nie przeszkadzało. Papier do pomostu dorobił płaszczadkę, by było się gdzie opalać. Trzeba też powiedzieć, że Piknik był międzynarodowy. Zaszczycili nas prawdziwi Czesi w ilości czterech osób. Zostawili po sobie wiele wspomnień i kawałek Skody na drzewie. W trzy samochody wybrali się na wycieczkę do Malborka, na miejsce dojechał jeden. Po drodze Gienio się rozkraczył a Czesi dachowali.

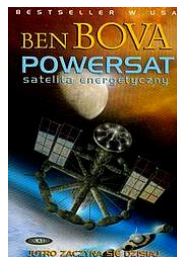


CDN

NABYTKI BIBLIOTEKI GKF

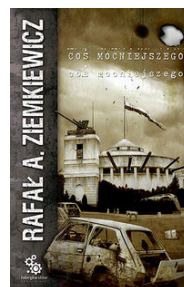
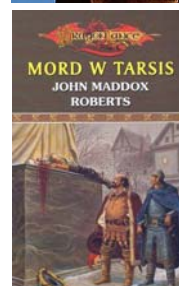
zakup maj - wrzesień 2006

Antologia	Krainy wtajemniczeń. Forgotten Realms
Antologia	Mroczny bies
Athans Philip	Unicestwienie. Forgotten Realms
Bakker R. Scott	Wojownik-prorok
Berg Carol	Objawienie
Białołęcka Ewa	Róża Selerbergu
Black Holly	Danina
Bova Ben	Powersat – satelita energetyczny
Butyczow Kir	Agent FK / Świętynia czarownic
Carey Jacqueline	Wcielenie Kusziela
Chadbourne Mark	Koniec świata

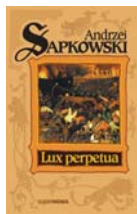


Chiang Ted
 Cyran Janusz
 David & Leigh Eddings
 David Weber, John Ringo
 De Pierres Marianne
 De Pierres Marianne
 Diaczenko Marina i Siergiej
 Drake David
 Egan Greg
 Erikson Steven
 Erikson Steven
 Flint Eric
 Galina Maria
 Gentle Mary
 Grzędowicz Jarosław
 Haydon Elizabeth
 Inglot Jacek
 Kamsza Wiera
 Lumley Brian
 Lumley Brian
 Lumley Brian
 Mac Leod Ian R.
 Martin George R. R.
 Martin George R. R.
 Michalski Cezary
 Miéville China
 Mortka Marcin
 Niles Douglas
 Nix Garth
 Nowosad Jerzy
 Pawlak Romuald
 Piekara Jacek
 Piekara Jacek
 Pierumow Nik
 Pilipiuk Andrzej
 Pratchett Terry
 Rice Anne
 Rice Anne
 Ringo John
 Roberts John Maddox
 Ryzewska Jaga
 Salvatore R. A.
 Salvatore R. A.
 Stephenson Neal
 Szyda Wojciech
 Williams Tad
 Wójtowicz Milena
 Wroński Marcin
 Ziemkiewicz Rafał A.
 Żamboch Mirosław

Historia twojego życia
 Ciemne lustra
 Starsi bogowie
 Nas niewielu
 Pasożyt
 Czarny kodeks
 Każń
 Jak błyskawice
 Kwarantanna
 Łowcy kości. T.1. Pościg
 Łowcy kości. T.2. Powrót
 1632
 Wilcza Gwiazda
 Hegemonia Katarginy
 Popiół i kurz
 Elegia na utraconą gwiazdę
 Inkwizитор. Zemsta Azteków
 Czerwień na czerwieni
 Nekroskop: Odrodzenie
 Nekroskop 11: Najeżdźcy
 Zegar Snów
 Wieki światła
 Uczta dla wron. T.1 . Cienie śmierci
 Uczta dla wron. bT.2 . Sieć spisków
 Gorsze światy
 Blizna
 Karaibska krucjata
 Wojna światów
 Pan Poniedziałek
 Czerwone oczy
 Wojna balonowa
 Przenajświętsza Rzeczpospolita
 Świat jest pełen chętnych suk
 Wojownik Wielkiej Ciemności
 Operacja Dzień wskrzeszenia
 Carpe Jugulum
 Posiadłość Blackwood
 Krew i złoto
 W lustrze
 Mord w Tarsis. Dragonlance
 Atalaya. Gwiazdomorze
 Samotny drow. Forgotten Realms
 Zmartwychstanie
 Zamęt T.1.
 Szlak cudów
 Marchia Cienia T.1.
 Wrota
 Wąż Marlo T.1.
 Coś mocniejszego
 Bez litości



Opracował Krzysztof Papierkowski



SAPEK WRACA

Wreszcie doczekaliśmy się – na początku listopada ukaże się ostatni tom trylogii Andrzeja Sapkowskiego o Reynevanie – *Lux perpetua*. Książka ukaże się nakładem SuperNOWEJ.

MJS

NIUSY

ASTRONOMOWIE NIE LUBIĄ WOJOWNICZEJ KSIĘŻNICZKI?

Planeta karłowata Xena nie tylko nie została dziesiątą planetą naszego Układu - ale też zmieniła nazwę na mitologiczną Eris.

jpp

PODWÓJNIE PECHOWY LOT "ATLANTISA"

Mimo perturbacji ze startem, i z lądowaniem - amerykański prom kosmiczny odbył kolejną misję do Międzynarodowej Stacji Kosmicznej.

jpp



TRÓJMIEJSKIE STOWARZYSZENIE FANÓW GWIEZDNYCH WOJEN

... to na razie grupa nieformalna, która status prawny chce uzyskać do końca tego roku. Na razie - konstruuje miecze świetlne i zorganizowali I Gdyński Konwent Fanów Star Wars "Kamino".

jpp

PRACOWNIA KOMIKSOWA W GDAŃSKU

Powstała pierwsza w naszym kraju Pracownia Komiksowa - na Suchaninie, w filii nr 50 Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej.

jpp

PIERWSZĄ KOSMICZNĄ TURYSTKĄ ...

... została Anousheh Ansari - Iranka mieszkająca od lat w Stanach Zjednoczonych.

jpp

BĘDZIE FILMOWY „HOBBIT”

Nawet 200 milionów dolarów może kosztować nowy wysokobudżetowy film wytwórni MGM – „Hobbit”, którego powstanie w końcu zostało potwierdzone. Wytwórnia ma nadzieję, że reżyserem, podobnie jak w przypadku „Władcy Pierścieni”, będzie Peter Jackson.

MJS



BĘDZIE ADAPTACJA „PRZENICOWANEGO ŚWIATA” STRUGACKICH

Fiodor Bondarczuk - twórca wchodzącej właśnie na polskie ekrany *9 Kompanii* - zamierza przenieść na ekran, zaliczaną do fantastyki socjologicznej, powieść braci Arkadija i Borysa Strugackich *Przenicowany świat*. Książka Strugackich należy do tzw. trylogii Kammera, na którą składają się także *Żuk w mrowisku* i *Fale tłumią wiatr*. Bohaterem powieści jest Maksym Kammerer, ziemski supermen, który widzi w ciemności, je bez szkody dla zdrowia trujące grzyby i nawet zastrzelony siedmioma kulami nie umiera. Awaria macierzystego statku zmusza go do lądowania na obcej planecie gdzie zostanie wplątany w konflikt między frakcjami rywalizującymi o władzę.

Deckard (www.gildia.com)

ZAPOWIEDZI WYDAWNICZE

druga połowa października 2006

PLEWY NA WIETRZE – ANNA BRZEZIŃSKA

Wydawca: RUNA

„Plewy na wietrze” to pierwsza część „Sagi o zbójcu Twardokęsku”, napisana od nowa i znacznie wzbogacona w porównaniu ze „Zbójckim gościńcem”, od którego będzie około dwukrotnie grubsza.

NAGI BÓG: KAMPANIA (THE NAKED GOD) – PETER F. HAMILTON

Wydawca: Zysk i S-ka

Kontynuacja „Dysfunkcji rzeczywistości” i „Widma »Alchemika«”

KSIĘŻYC BUNTOWNIKÓW (MUTINEER’S MOON) – DAVID WEBER

Wydawca: ISA

Data wydania: 23 października 2006

HISTORIA LISEY (LISEY’S STORY) – STEPHEN KING

Wydawca: Prószyński i S-ka

WOJNA ROJÓW (THE SWARM WAR) – TROY DENNING

Wydawca: Amber

KIEDY ZAWODZI GRAWITACJA (WHEN GRAVITY FAILS) – GEORGE ALEC EFFINGER

Wydawca: Wydawnictwo Dolnośląskie

KŁAMKA 2. BÓG MARNOTRAWNY – JAKUB ĆWIEK

Wydawca: Fabryka Słów

CZARNY PERGAMIN – RAFAŁ DĘBSKI

Wydawca: Fabryka Słów

TROJA. WŁADCA SREBRNEGO ŁUKU (LORD OF THE SILVER BOW) – DAVID GEMMELL

Wydawca: Rebis

1633 (1633) – ERIC FLINT, DAVID WEBER

Wydawca: ISA

BALSAM DŁUGIEGO POŻEGNANIA – MAREK S. HUBERATH

Wydawca: Wydawnictwo Literackie

Twórczość Marka S. Huberatha w pigułce! Zbiór najlepszych opowiadań zajdłowskich autora, oraz całkiem nowych nigdzie dotąd nie publikowanych.

ATTYLA. KRÓL HUNÓW (ATTILA. KÖNIG DER HUNNEN) – THOMAS R.P. MIELKE

Wydawca: Solaris

PATROL ZMROKU – SIERGIEJ ŁUKJANIENKO

Wydawca: MAG

UCZTA KRÓLEWSKIEGO CIENIA: KSIĘGA DRUGA OUTREMERU (FEAST OF THE KING’S SHADOW) –

CHAZ BRENCHLEY

Wydawca: ISA

QUANARIA. OPOWIEŚĆ O 8SMEJ WYSPIE. TOM I – RICHARD A. ANTONIUS

Wydawca: Red Horse

W MARTWYM TERENIE (IN DEATH GROUND) – DAVID WEBER, STEVE WHITE

Wydawca: Rebis

WYDRWIZĄB – EUGENIUSZ DĘBSKI

Wydawca: Fabryka Słów

ZATOPIONA ŚRODA (DROWNED WEDNESDAY) – GARTH NIX

Wydawca: Wydawnictwo Literackie



listopad 2006

NAJGLUPSZY ANIOŁ (THE STUPIDEST ANGEL) – CHRISTOPHER MOORE

Wydawca: MAG

RZECZY ULOTNE (FRAGILE THINGS) – NEIL GAIMAN

Wydawca: MAG

WILCZA KREW, SMOCZY OGIEŃ – ROMUALD PAWLAK

Wydawca: Fabryka Słów

BEZPOŚREDNI KONTAKT (HARD CONTACT) – KAREN TRAVISS

Wydawca: Amber

SILMARILLION (SILMARILLION) – JOHN R.R. TOLKIEN

Wydawca: Amber

MIASTO PERMUTACJI (PERMUTATION CITY) – GREG EGAN

Wydawca: Solaris

OPOWIEŚĆ O ZŁODZIEJU CIAŁ (THE TALE OF THE BODY THIEF) – ANNE RICE

Wydawca: Rebis

Czwarta odsłona bestsellerowych „Kronik Wampirów”

PRINCESS OF WANDS – JOHN RINGO

Wydawca: ISA

SŁUGA BOŻY – JACEK PIEKARA

Wydawca: Fabryka Słów

„Sługa Boży” to przeredagowane i uzupełnione wznowienie tomu opowiadań o inkwizytorze Mordimerze Madderlinie, zawierające między innymi nigdy nie publikowany tekst „Czarne płaszczki tańczą”.

TOTALNA AWARIA SYSTEMU (CRASH DELUXE) – MARIANNE DE PIERRES

Wydawca: Solaris

Trzeci tom wyśmienitej trylogii fantastyki akcji, wybuchowej mieszanki cyberpunku i sensacji.

WĄŻ I GOŁĘBICA – JACEK PIEKARA

Wydawca: Fabryka Słów

PAN ŚWIATŁA (LORD OF LIGHT) – ROGER ZELAZNY

Wydawca: ISA

Wznowienie, w nowym przekładzie Piotra W. Cholewy.

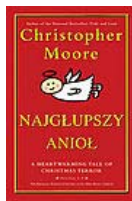
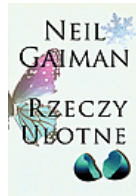
ZBUDZONE FURIE (WOKEN FURIES) – RICHARD MORGAN

Wydawca: ISA

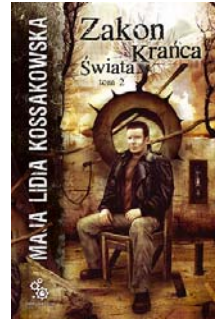
Takeshi Kovacs wrócił do domu!

LUX PERPETUA – ANDRZEJ SAPKOWSKI

Wydawca: superNOWA



Odyseja Grabieżcy



Gdy pisałem recenzję pierwszego tomu tej książki, zarzucałem autorce tylko jedno. To, że na drugą część "Zakonu..." będziemy musieli tak długo czekać. Druga odsłona przygód grabieżcy Larsa Bergsona zapowiadała się bardzo ciekawie. Przyznam, że spodziewałem się po niej niemało. Gdy w końcu dane mi było przewrócić jej ostatnią stronę, poczułem spory niedosyt. Jeśli chcecie wiedzieć, dlaczego, czytajcie dalej.

Pisanie recenzji tomów o numerze dwa i więcej to trudne zadanie. W tym miejscu należałoby właściwie odesłać czytelnika do opisu pierwszej części, lub przynajmniej częściowo powtórzyć większość zawartych tam informacji. Później zrobić "update" fabularny i dopisać, czy było lepiej, czy nie. Recenzja gotowa? Wszystko byłoby dobrze, ale ta książka, poza głównym bohaterem, różni się od swojej poprzedniczki niemal wszystkim!

Ostatnie spotkanie z Bergsonem zakończyliśmy, gdy wyruszał on w tajemniczą podróż ku wzywającemu go Drzewu. Jak należało się spodziewać, II tom to klasyczna powieść drogi. Miejskie ulice zastępowane są przez wioski i lasy. Odbarci mieszkańcy postapokaliptycznego miasta – przez dzikie plemiona. Trochę szkoda, bo zdążyłem już polubić wizję metropolii pani Kossakowskiej. Nic to, widocznie tak było trzeba.

Nie czekając na nic, już pierwszy rozdział rzuca nas w wir akcji, która ani na moment nie zwalnia kroku. Istoty z zaświatów, egzekutor nasłany przez samych Mistrzów Blasku, barbarzyńcy i nawet ambitny burmistrz "zabitej dechami" wioski uwijają się jak w ukropie, by utrudnić grabieżcy życie. W czasie lektury z rozbawieniem liczyłem momenty, kiedy Bergson przechodzi wielotygodniową rekonwalescencję związaną z sadystycznymi zapędami autorki. I wszystko byłoby w porządku, ale...

Jakoś brakuje w tym wszystkim napięcia. Lars B. z dumnego i niezależnego grabieżcy staje się nagle bezwolną marionetką. Bliżej nieokreślona siła w snach i na jawie dobitnie przekonuje go o tym, że nie on jest już panem własnego losu. Przewracając kolejne karty książki, jakoś nie mogłem wyrzesać z siebie ani krzty troski o życie i zdrowie bohatera. Przecież i tak przeznaczonym jest mu trafić do Drzewa. Nawet gdy znajduje się w największej matni, to na pewno zaraz nastąpi jakiś cud. Później znane nam już, kilkutygodniowe leżenie w bandażach i voila: Bergson jak nowy. Litości.

Zakończenie również należałoby zbyć litościwym milczeniem. Tytułowy Zakon okazuje się koszmarne nudną placówką badawczą, Drzewo drzewem, a utracona przed laty Ava pumą, która wcale już do męża nie tęskni. Niby to wszystko sprawia wrażenie happy end'u, ale niedosyt pozostaje. Bo oto właśnie ukręcono łeb naprawdę ciekawemu pomysłowi i świata, i bohatera. Zasłaniając się ślepym przeznaczeniem i mistycznymi wizjami wstępowania grabieżcy na wyższy plan egzystencji zniszczono wszystko, co tak podobało mi się w części pierwszej. Szkoda!

Czy z przytoczonych powyżej argumentów należy wnioskować, że drugi tom przygód Larsa Bergsona to książka zła? Nie. Spodziewałem się po niej sporo więcej. Nikt nie jest doskonały. Pomijając przytoczone wady, mamy do czynienia ze "starą dobrą" Kossakowską, która nadal imponuje pomysłowością i błyskotliwymi dialogami. Głęboko wierzę, że jej kolejna książka będzie dużo bardziej dopracowana, czego sobie i wam życzę.

Misha (www.gildia.pl)

Maja Lidia Kossakowska „Zakon Krańca Świata”, t. 2. Fabryka Słów 2006.

[tytuł od redakcji]

Wśród zagubionych dusz

Chciałoby się rzec, że dwa Zajdle piechotą nie chodzą. Już z tego powodu kolejnej książce z nazwiskiem Grzędowicz na okładce należy poświęcić przynajmniej odrobinę uwagi. Mimo początkowych pretensji do autora, wybaczam mu nawet fakt, że nie jest to kolejna odsłona przygód bohatera "Pana Lodowego Ogrodu". I choć główna postać powieści, ekscentryczny etnolog, nijak ma się do Vuko Drakkainena, to książkę pochłania się w równie zadziwiającym tempie.

Jeśli znacie opowiadanie "Obol dla Lilith" ze zbioru "Demony", to opis świata mamy już za sobą. Dla niezorientowanych kilka słów-kluczy: Świat Pomiędzy, czyściec, zagubione dusze, demony. Jasne? Mógłbym darować sobie także opis bohatera, ale odesłanie was do Indiany Jones'a nie byłoby do końca trafne. Nasz profesor prowadzi podwójne życie, w dzień wykładu na uczelni, by w nocy zamienić się w rycerza zaświatów. Wskakuje na "Ka" (czyli coś w rodzaju duszy) swojego motocykla, ładuje obrzyn i rusza na poszukiwania tych, którzy po śmierci nie do końca trafili w dobre miejsce. A raczej w bardzo złe. Oczywiście żyć z czegoś trzeba, więc nasz Charon za swe usługi pobiera przystoiowego obola, nieważne, czy to pięćdziesiąt groszy, czy też walizka pieniędzy. Ogólnie zawartość ukrytej piwniczki pedagoga sugeruje, że to intratny biznes.

Jak to bywa w powieściach, coś musi się wydarzyć, żeby uruchomić lawinę zdarzeń dalej zwaną fabułą. Otóż w tajemniczych okolicznościach ginie znajomy profesora. Zakon, do którego należał Michał, tuszuje sprawę, jak tylko może. Gdy jeden z braciszków zaczyna sypać, po chwili dynda już z liną wokół szyi na klasztornej dzwonnicy. Koszmarne sny i panowie w czarnych garniturach w tych okolicznościach to już żadna atrakcja. Zaczyna się gra, w której nie do końca wiadomo, co jest celem, ale jedno jest pewne: stawką jest życie.

Co tu dużo pisać, Grzędowicz to mistrz prozy - oszczędnej, ale nad wyraz efektownej i pochłaniającej. Czytanie utworów tego pana skutkuje poważnymi przypadkami oderwania od rzeczywistości, łącznie z utratą poczucia czasu i zaczerwienieniem oczu. Radzi sobie z równą lekkością w scenach walki, jak i długich dialogach. Co nieczęste w polskiej fantastyce, z polotem wybrnąć udaje mu się ze sceny erotycznej z wiedzą w roli głównej. Niesamowite wrażenie zrobiły na mnie opisy "życia" codziennego mieszkańców krainy Pomiędzy. Ucieczka od rzeczywistości, negacja faktu śmierci i próba prowadzenia normalnego życia, łącząca się z kuriozalnymi czynnościami, jak płacenie w sklepach uschniętymi liśćmi czy śmieciami. Prawdziwy majstersztyk.

Jest jeszcze jeden objaw czytania prozy Grzędowicza, którego możecie się nabawić. Chroniczne uderzanie głową o ścianę, tudzież blat stołu. To, co autor wyczynia z czytelnikiem w zakończeniu woła o pomstę do nieba. Nie po raz pierwszy przekonujemy się, że Jarosław G. ma problem z epilogami swych utworów. "Popiół..." zasługuje na co najmniej sto kolejnych stron! Wątki ciernistego krzyża i Michała zostały potraktowane po macoszemu i właściwie niewyjaśnione. Ostrzegam z góry, jeśli to samo potka drugi tom "Pana Lodowego Ogrodu" to dojdzie do demonstracji i rękoczynów.

Myślę, że książki nie trzeba wam polecać. Trochę akcji, niemała dawka kryminału, solidna porcja napięcia i dobry seks, a wszystko to w najlepszym polskim wydaniu. Czytać!

Misha (www.gildia.pl)

Jarosław Grzędowicz „Popiół i kurz. Opowieść ze świata Pomiędzy”. Ilustrator: Dominik Broniek. Fabryka Słów 2006.

[tytuł od redakcji]



Efekty działania wiatraka

Krasnoludy będą miały nowego dolnego króla! Król ten będzie najwyższym sędzią rasy krasnoludzkiej. Będzie tym, który ustala prawa i wskazuje kierunek, w którym mają maszerować wszystkie krasnoludy. I albo będzie to droga w świetlaną przyszłość połączoną z postępem na miarę Wieku Nietoperza (czytaj: będzie korzystna dla Ankh-Morpork), albo też będzie to droga do ultrakonserwatyizmu i zacofania (czytaj: będzie niekorzystna dla Ankh-Morpork). Oczywiście jest więc, że na tak ważnej koronacji nie może zabraknąć najlepszego dyplomaty, jakim dysponuje Patrycjusz – czyli diuka Ankh...

Czy coś się Wam nie zgadza? I bardzo słusznie, ponieważ diuk Ankh jest szerzej znany jako komendant Straży Miejskiej Sam Viemes. Człowiek zasadniczo prostolinijny, który o dyplomacji i dyplomatach ma zdanie jak najgorsze. A ponieważ w delegacji jest też troll Detrytus oraz !krasnoludka! Cudo Tyłeczek, to jest rzeczą pewną, że nie obejdzie się bez skandalu...

Czyżby to było jakieś nieporozumienie?

Coż... Patrycjusz już nie raz udowodnił, że wie, co robi...

W **Piątym elefancie** spotkamy naszych ulubionych bohaterów ze Straży Miejskiej, działających w bardzo nietypowych dla siebie okolicznościach. Każdy z nich staje przed wyzwaniem, które w zasadzie przekracza jego możliwości. Dodatkowo odwiedzimy wraz z nimi Uberwald i poznamy jakże interesujących tambylców – z rodziną Angui na czele.

Poznamy też zupełnie nowe wilkołaki, wampiry i tradycyjne krasnoludy, a intryga kryminalna, powszechnie obecna w tomach o Straży przepłata się z nie mniej zagmatwaną intryga polityczną.

Wrzucenie Vimesa i jego towarzyszy w środek politycznej intrygi to jak wrzucenie g... hmmm... efektu przemiany materii organizmów żywych w wiatrak.

Jednym słowem – świetna zabawa dla czytelnika!

Jak zwykle znajdziemy sporo odwołań do naszego świata, czasem nie bardzo oczywistych, ale za to celnych (tłuszcz najcenniejszym bogactwem!), a czasem oczywistych, ale niezbyt zrozumiałych i sensownych (fotoradar w wersji fantazy – bez specjalnego sensu i powiązania z akcją)...

W tym momencie dochodzimy do pewnych ALE... Niestety niektóre fragmenty wydają się być wzięte z zupełnie innej bajki lub dorzucone z braku pomysłu. Marchewa działa jakoś tak zupełnie niemarchewowo... W zasadzie nie bardzo wiem, czemu on właściwie występuje w tej książce, bo jest tutaj zupełnie poboczną, nieistotną postacią, choć przebywa w miejscu, gdzie dzieje się główna intryga. Wygląda to trochę tak jakby autorowi zabrakło pomysłów...

Przyznam się szczerze, że choć bardzo lubię tomy opowiadające o Straży Miejskiej i do wielu z nich często wracam, to po przeczytaniu **Piątego elefanta** mam lekko mieszane uczucia. Moim zdaniem jest to bardzo nierówna książka. Pomysły i skojarzenia z najlepszej Pratchettowskiej szkoły przepłatają się z wątkami pozbawionymi sensownego uzasadnienia. Powszechnie u Pratchetta nabijanie się z absurdów naszej rzeczywistości oraz wartka akcja gdzieś znikają, zastąpione przez nie wiadomo co...

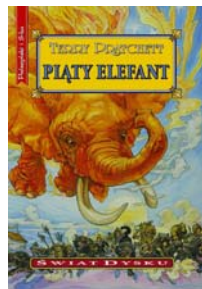
Ale! ale! Nie zrozumcie mnie źle! Ta książka jest przeciętna jak na Świat Dysku. Bo jeśli by spojrzeć na przeciętne książki fantastyczne innych autorów, to błyszcząca wśród nich jak klasyczna pratchettowska perła. Autor bynajmniej nie stracił swojej lekkości pióra i (jak zwykle przy **Świecie Dysku**) „połknąłem” ten tom w tempie ekspresowym (czytałem nawet podczas obiadu!).

Tak więc spokojnie mogę powiedzieć, że **Piąty elefant** jest dobrą książką i bynajmniej nie żałuję wydanych na nią pieniędzy.

RAJ (www.gildia.pl)

Terry Pratchett „**Piąty Elefant**” (*Świat Dysku* #24). Prószyński i S-ka 2006.

[tytuł od redakcji]



O POŻYTKACH PŁYNĄCYCH Z KATASTROFY

Danak Roman *Sotnie Łysego Iwanki*
Rzeszów 1994, Wydawnictwo Wyższej
Szkoły Pedagogicznej



Chaos powstały wskutek nuklearnego kataklizmu i technologiczne zacofanie resztek ocalałej ludzkości; satelity krążące wokół Ziemi niczym cybernetyczny miecz Damoklesa, wreszcie bohater zagubiony w epoce nowej Wędrówki Ludów... Wszystko to było wielokrotnie opracowywane i w kinie, i w literaturze. Zdawać by się więc mogło, że Roman Danak, sięgając po scenerie *dark future*, ma do wyboru dwa wyjścia: albo powieli założenia, przyświecające fantastyce ukazującej mroki przyszłości, albo też przetworzy wykorzystywaną konwencję w parodystyczny sposób. Ten jednakże, kto oczekiwałby po *Sotniach Łysego Iwanki* wiernej reprodukcji schematu w sposób serio, bądź humorystyczny, będzie zaskoczony.

Danak bowiem odnalazł trzecia możliwość. Zamiast postapokaliptycznego upadku cywilizacji ukazał próbę przezwyciężenia globalnego kryzysu i odbudowę społeczeństwa; miast samotnych *outsiderów* — członków wspólnot tworzących nowy, rustykalny ład. Oczywiście nie oznacza to, iż Danak nie korzysta ze znamiennej dla *dark future* rekwizytorni. Czyni to jednak inaczej, niż jego poprzednicy. Nie może być jednak inaczej, skoro czasy „nowego barbarzyństwa” to dlań nie doba rozpadu wartości etycznych i społecznych w obliczu ich kompromitacji i nieprzystawalności do nowych warunków, lecz odbudowy najbardziej elementarnych więzi międzyludzkich, zagubionych przez upadłą cywilizację. W efekcie czytelnik ma okazję śledzić odbudowę struktur społecznych i tworzenia podwalin państwowości. Dlatego też bliżej *Sotniom...* do utopijnych projektów Rousseau, niż *Mad Maxowi* George'a Millera. Takie założenia aksjologii świata przedstawianego sprawiają, iż można traktować powieść Danaka jako bodaj czy nie jedyny w najnowszej rodzimej fantastyce przykład spełnionej utopii. Co więcej — utopia ta nie jest zamaskowaną realizacją swego przeciwieństwa (z czym mamy do czynienia np. w *Powrocie z gwiazd* Stanisława Lema).

Niejakiej pikanterii może dodawać fakt, iż akcja powieści nie rozgrywa się „gdzieś w Ameryce” (do czego przyzwyczajali nas rodzimi twórcy fantastyki w ostatniej dekadzie XX wieku), lecz na terenach byłej Rzeczypospolitej szlacheckiej. Ziemie te najszybciej podniosły się z postapokaliptycznego chaosu i stworzyły namiastkę struktur społecznych. Fakt ten pozwala odczytywać *Sotnie...* jako powieść nacjonalistyczną. Co znamienne, nie jest to nacjonalizm wojujący (z którym stykają się choćby czytelnicy *Za błękitną kurtyną* Romana Bertowskiego), szermujący nienawiścią i antagonizmami narodowościowymi. W Polsce przyszłości według wizji Danaka, podobnie jak w tradycji jej szlacheckiej antenatki jest miejsce na tolerancję, zaś wielonarodowość wzbogaca. Oczywiście bohaterowie *Sotni...* nie są aniołami i wielu z nich to „czarne charaktery”, lecz o ocenie postaci decyduje nie narodowość, lecz etyczne decyzje postaci. Może dlatego, mimo iż reprezentują konserwatywne wartości, nie tchną tanim dydaktyzmem?

Mimo niewątpliwych zalet (oryginalności pomysłu, pełnowymiarowych postaci, zróżnicowania ich języka) powieść Danaka sprawia jednak wrażenie niedopracowanej. Istotnie — miała ona stanowić część większego cyklu, jednakże śmierć autora przerwała pracę nad dalszymi losami tytułowego bohatera. Z tego samego powodu wiele zapowiadających się ciekawie wątków pozostało niedokończonych. Mimo to warto *Sotnie...* poznać i zarezerwować dla nich miejsce na półce.

Adam Mazurkiewicz

muzyka = fantastyka = fantazja

ECHO REGGAE ODBITE OD SKAŁY



Wspominałem swego czasu, że fantastykę najłatwiej spotkać tam, gdzie krzyżują się dwie, a czasem więcej różnych, pozornie od siebie niezależnych, konwencji, stylów czy poetyk. Że muzycy właśnie w tym magicznym punkcie potrafią uzyskać specyficzną głębię przekazu i znaleźć klucz do tajemnicy, względnie sami starają się go tam umieścić. Tak czy siak, największą frajdę ma z tego zawsze słuchacz, bo kiedy muzyk skrzese w sobie tę iskrę, a na dodatek ma głowę na karku, to efekt jest, no, palce lizać.

Muzyka, do której dziś powracam, kusila mnie zawsze subtelnym posmakiem fantastyczności, ukrytym w starych legendach, rzadko spotykanym urokiem i nastrojem. Bo nie dość, że wszystko tu mocno osadzone w tradycji, to na dodatek, spowija ją, niczym gęsta mgła, magia Tatr. Ujmując krótko, wszystko co dziwne, z lekka tajemnicze i fantastyczne – w tej muzyce jest. To uznanie dla tego wszystkiego, co w muzyce inne, nie trendy i raczej mało znane, a co najważniejsze – bardzo muzyczne.

Góralską kapelę rodziny Trebuniów-Tutków z Białego Dunajca poznałem ponad dziesięć lat temu, dzięki rodzimej telewizji. Pamiętam jak dziś, była niedziela, pora obiadu. Siedzieliśmy wszyscy przy stole i obiadowaliśmy wedle obyczaju, gdy nagle, z głośnika TV do mych uszu doleciały zdumiewające dźwięki i rytmy: niby zwykłe reggae, ale tylko niby, ponieważ okraszone jakimis skrzypczkami. Tak, nie myliłem się, to były nutki... góralskie! Na dodatek, za chwilę zaświzczała piszczałka, to znów zakwiliła do wtóru fujarka i zaczęła „pobekiwać” koza. Zerknąłem na ekran. To telewizyjna Dwójka, w porze obiadu, zaserwowała na deser słynny krakowski koncert Trebuniów z Twinklami. Ten, od którego wszystko się zaczęło.



Górale i rastamani razem na scenie, grający jedną muzykę! Czy może być coś bardziej abstrakcyjnego? – tak sobie wtedy pomyślałem. Wkrótce okazało się, że może, i to również za sprawą tejże kapeli. I choć wtedy, na krakowskim koncercie, to Twinkle Brothers grali pierwsze skrzypce, a górale im sekundowali, niedaleka przyszłość pokazała, że jeśli nawet z początku tak było, Trebunie rychło złapali wiatr w plecy i poszli własną twórczą drogą. I nie był to wcale jakiś tam lekki wietrzyk, a prawdziwy muzyczny halny, co to skrzętnie zbiera się w sobie, by uderzyć z całą mocą, budząc dźwiękami zaśpione echa z gór.

Na czym cały wic polegał? Na umiejętnym wpisaniu harmonii muzyki polskich górali w puls roots reggae. Kapitalny, iście magiczny mariaż – skrzyżowanie dwóch, zupełnie sobie obcych, sposobów odczuwania i rozumienia muzyki: z jednej strony uduchowione, rozkołysane, kocie reggae, z drugiej ostre i zmysłowe zbójnickie rytmy, zaprawione folklorem wszystkich możliwych sąsiadów po obu stronach Tatr. Jamajczycy, z inicjatywą redaktora radiowej Dwójki, Włodzimierza Kleszcza, pod wodzą wokalisty, Normana Granta, w pewien mglisty, listopadowy dzień 1991 roku pojawili się w Białym Dunajcu i taki był początek. Jak powiedział mi pewien góral z Białego, zapytany przeze mnie o Twinkli: „A hódziły takie corne cepry pó wiosce”. Pamiętają. Tak różne etnicznie i muzycznie kultury potrafiły jednak stworzyć wspólną wartość, na tyle wyrafinowaną i ulotną, co nieprzemijającą. Zbudziły się po latach i poszły w świat (mix pierwszej płyty,

„Higher Heights”, miał miejsce w Londynie) górskie legendy o dziwożonach, zbójnikach i krwawych talarach, a magiczny blask watry krwawo błysnął aż na Jamajce.

Sami Twinkle Brothers, od lat grający w charakterystycznym dla siebie stylu dub w którym rytm reggae opierał się przede wszystkim na gitarze basowej, a perkusja, podkreślana pogłosem, akcentowała frazy (boski efekt!), w którym głos Normana występował umiejętnie rwane linie melodyczne, pełniąc często rolę nie głównego przekaznika idei utworu, a raczej klimatycznego ozdobnika. Resztę dopowiadało echo bądź zamykała pętla dźwiękowa kamery pogłosowej. Magia brzmienia i nastroju. Metafizyka przekazu. Marek Górniewicz powiedział kiedyś o nich, że słucha ich, jak jazzu.



Takie były dawne lata. Przyjeżdżając w Tatry, Twinkle przywieźli ze sobą łatwiejszą odmianę swego stylu, muzykę już nie tak gęstą i mroczną, bardziej melodyjną, wciąż jednak elektryzującą, misternie utkaną z transowo rozkołysanego rytmu, spowitą w echa i efekt zapętłonego dźwięku. To było ich „wiano”. Trebunie ze swej strony wnieśli ponadstuletni kunszt improwizacji na sabałową* i bartusiową** nutę – sztuka niespotykana nigdzie indziej na świecie – oraz podhalańskie instrumentarium, tak egzotyczne dla jamajskich muzyków: złoćboki, fujarki, puszczalki, dwójnicę (fujarka z dwoma tylko wlotami powietrza), owcze dzwonki i kozę (nie mylić z kobzą), czyli podhalańskie dudy, zwieńczone stylizowaną kozią łepetyną – stąd

nazwa; słowem, całą autentyczną surowość brzmienia spod samiućkich Tater. No i teksty: oryginały, zaczerpnięte z najstarszych ustnych przekazów, jak i rymy wychodzące spod pióra znakomitych współczesnych poetów, przede wszystkim zakopiańskich, głównie Anny Gąsienicy-Czubernat, a na koniec własne.

Zanim jednak halny trzy razy zgonił śniegi z Czerwonych Wierchów, muzyczne fantazje, niczym górskie wywierzyisko, drążyły już sobie własne, uparte, ścieżki. Prawdziwie niezwykle rzeczy zaczęły się wtedy dzieć pod Tatrami.

Twinkle wyjechali, by więcej nie wrócić, górale zostali sami. To mogło dla nich oznaczać tylko jedno: skok z jednej magicznej poetyki, opartej na fuzji kultur, w drugą, kto wie, czy nie bardziej atrakcyjną niż poprzednia, bo bardziej akcentującą nastrój i przekaz zamiast rytmu. Nie ograniczani przez nikogo, z carte blanche publiczności w kieszeni, zaczęli szukać własnego brzmienia. Poszli na całość przetartymi szlakami rastafarian. Do ich muzyki rozedrgane, niesione echem tony, pasowały jak ulaf. Echo jest przecież w górach nieodłącznym towarzyszem. To było to. Kamera pogłosowa na stałe zagościła w krakowskim studiu nagrań, a dawne, po-twinklowe, utwory zajaśniały nowym blaskiem. Wzbogacili skład instrumentów. Sekcję rozbudowali, przynajmniej w tym pierwszym okresie samodzielności estradowej, o kontrabas i głęboki fundament kongów, dodali zmiksowany dźwięk gitary elektrycznej i instrumenty ludowe z różnych stron świata, całość umiejętnie podkreślając pętlą czasową kamery pogłosowej i echem, które ogarnęło wszystko: instrumenty i wokale. Rozkołysany rytm ustąpił miejsca zgrzebnemu klimatowi. Te same utwory, które jeszcze niedawno wirowały dynamicznie roztańczone, przygasyły nieco, stały się bardziej stateczne i szorstkie, jakby wysmagane północnym wichrem. Efekt był murowany: liryczne rozpamiętywania „W dusak” czy „Hań w górze” dopiero teraz zdawały się zyskać właściwą formę – chropowatą, „twardą” i zimną jak górskie powietrze.

Wkrótce przyszedł czas na jazz. Współpraca z krakowskim saksofonistą, Włodzimierzem Kiniorskim, jeszcze za czasów Twinkle Brothers, urozmaicała brzmienie, a teraz utworowała drogę do ukrytej hen w górach jaskini jazzu, pełnej muzycznych skarbów. Z początku nieśmiało, krótkie saksofonowe wstawki, z czasem rozrastały się,

piękniaty i uczyły się góralskiej „mowy”. Kinior poczynął sobie coraz śmielej, aż sięgnął po eksperymenty. Okazjonalnie dołączał do nich również Krzysztof Ścierański, jazzowy bas numer 1, którego brzmienie i „filozofia” dźwięku w sposób niepowtarzalny budowały klimat.

Kolejne płyty, to jakby kolejne wyprawy w nowo odkrywane światy. Kiniorski utworzył w tym czasie awangardową formację „Kinior Future Sound”, opartą na elektronice i wyobraźni. Wymieszali, domieszali i połączyli w jedno: najprawdziwsze góralskie brzmienia z nowoczesną elektroniką, a wszystko okraszone subtelnym poczuciem humoru i podane z zadziwiającą lekkością. Więcej w tym zabawy niż powagi eksperymentatorów. Wymyślili nawet nowe pojęcie: etno techno i myślę, że nie trzeba za bardzo tłumaczyć, o co chodzi.

Wydawało się wówczas, że dla Trebuniów nie ma rzeczy niemożliwych, że nie cofną się przed niczym, że dla nich Muzyka jest pojęciem niezgłębionym, górskim jeziorem, które nie ma dna. Pozostając niezmiennie wiernymi góralskiej tradycji, stroniąc od wszelkich przejawów komercji, konsekwentnie budowali coś, co nazwali w końcu Nową Muzyką Góralską.

Nie ma co silić się na jakieś klasyfikacje i przyporządkowania; są rzeczy, których nijak przyporządkować się nie da. Same dla siebie są klasyfikacją, porządkiem i normą. Taka, dla przykładu, płyta „Podniesienie” (1998 r.). To, według mnie, najambitniejsze i najbardziej magiczne dzieło Trebuniów; połączenie muzycznej modlitwy z próbą zgłębienia tajemnicy istnienia i zagadki majestatu gór. Jazz i podhalańskie nutki współistnieją tu tak ściśle i naturalnie, jakby nigdy nich nie dzieliło. Tworzą przepiękną muzyczną jedność. Utwory nawiązują do spraw w tradycji i muzyce góralskiej najświętszych: od miłości i śmierci po ślebotę, godność, wiarę i wierność Sabałowej spuściznie. Muzyka skupiona, maksymalnie oszczędna w formie, surowa, a tak przecież jasna i wyrazista, cudownie zamyślona i nastrojowa. Choć utwory zróżnicowane – od tradycyjnych, z cudnymi jazzowymi akcentami fortepianu Michała Kulentego, po elektroniczne, stonowane „dumki” – to jednak stanowiące logicznie zamkniętą i spójną całość. Tak w słowie, jak i w warstwie muzycznej. Brzmienie tajemnicze, głębokie i gęste, jakby na świat z mgły się wydobywające.

Tu wszystko jest nastrojem: i elektronika Kiniora – tło dla zbierających owczych dzwonek („Mateczko”) czy tajemniczy dialog basu Ścierańskiego z Kiniorowym saksofonem, w który cichutko, nieśmiało, włączają się złóbcoki Władysława Trebuni, dopełniając tej przestrzeni dźwięku („Przyjdź”).

Tu wszystko jest echem, jak choćby w impresjonistycznej metaforze, oddającej „muzykę” gór: „*Grajom rzewnom nute/tatrzańskie organy/przy sumie wodecki/odbitej od skały*” (Tatrzańskie organy). Głos Krzysztofa Trebuni, nagrany na trzech ścieżkach magnetofonu, brzmi jakby był zwielokrotniony echem, a saksofon Kiniora, ukryty nieco z tyłu i podkreślony pogłosem, dociera do słuchacza nie „wprost”, lecz z oddalenia, niczym przyniesiony wiatrem. Niezwykle jest dla mnie również to, że udało się przy pomocy pozornie bezwyrazowego „Future Soundu”, tworzącego przecież tylko tło, zbudować nastrój wyciszzonej kontemplacji.

Słuchając „Podniesienia”, zastanawiam się czasem: dokąd muzyczny hałny poniesie ich jeszcze? Czym znowu zadziwią? Myślę wtedy, że niejednym. Tyle przecież tajemnic czeka w Tatrach na odkrycie...

Andrzej Habasiński

* Jan Krzeptowski (1809-1894), zwany Sabałą – zbójnik, myśliwy, gawędziarz i muzyk. Grywał na złóbcokach, małych skrzypczkach, wyrobionych z jednego kawałka drewna, wydających przenikliwy, piskliwy ton. Jego muzyka uosabiała, wg Stanisława Witkiewicza, prastarego ducha Słowian, zaklętego w dźwiękach instrumentu.

** Bartuś Obrochta z Kościelisk (1850-1926) – najlepszy skrzypek na Podhalu, prawdziwy wirtuoz, przyjaciel Karola Szymanowskiego z jego zakopiańskich czasów. (przyp. AH)

TAŚMY PRAWDY

KORUPCJA W FANDOMIE!

Nasi reporterzy M. Sz. i M. Sz., za pomocą sprzętu udostępnionego przez tajne służby (Delegatura ABW w Gdańsku), nagrali rozmowę między K. P., a prezesem Śląskiego Klubu Fantastyki E. G., która odbyła się w nocy z 30 września na 1 października, w pokoju 114 hotelu „Skaut” w Bytomiu. Niżej podajemy fragment ścieżki dźwiękowej zapisu. Pełny zapis zostanie przedstawiony na Forum Fandomu podczas Nordconu.

Z wiarygodnych źródeł dowiedzieliśmy się, że rozmowa była również nagrywana przez samą Elę (na prymitywnym, cywilnym sprzęcie). My jednak, tradycyjnie, wyprzedziliśmy „Miesięcznik” i publikujemy te materiały pierwsi.

Redakcja „Informatora GKF”

Papier: No, wreszcie sami... Możemy porozmawiać bez świadków.

Ela: Mam nadzieję, że chodzi tylko o rozmowę.

P: Jeżeli myślisz, co ja myślę, że ty myślisz, to bez obaw. Po prostu jest sprawa do omówienia.

E: Słucham... i nie pa! Nie znoszę zapachu Mocnych!

P: Dobra, dobra. Już gaszę... Więc do rzeczy. Jesteś Elu wspaniałym moderatorem działalności klub owej i takich nam trzeba w giekaefie. Co byś powiedziała na przejście do nas?

E: Eeee... możemy o tym porozmawiać. Przesiądź się tylko pod tę lampę... eee... abym cię lepiej widziała. A co z tego będę miała?

P: Wiem, że tu w eškaefie, jesteś praktycznie dożywotnim prezesem, ale pomyśl o nowych wyzwaniach! I ten morski mikroklimat. Jodu w powietrzu tyle, że można się zachłysnąć. Na pewno będzie to korzystne dla twego zdrowia.

E: No... Warto przemyśleć. A jak sobie wyobrażasz realizację?

P: Zapisujesz się do giekaefu i po tygodniu, no może dwóch, zostajesz mianowana wiceprezesem. Rozumiesz, nie możesz od razu być prezesem. Umówiliśmy się z Cetim, że będzie miał 2-3 kadencje. Ale te kilka lat szybko zleci!

E: Przecież macie w statucie zapisane, że jest tylko dwóch wiceprezesów!

P: A ty jak dziecko! Przecież wiesz jak się to robi! Robimy nadzwyczajne walne zebranie bez specjalnego nagłaśniania. Przychodzą ci, co powinni przyjść. Brak oczywiście kworum, ale drugi termin ustala się po dziesięciu minutach. I robi się zmiany w statucie! Jeszcze jedno! Pomyślałem sobie, że przecież możesz dalej pozostawać w eškaefie i przez pewuca trzymać rękę na pulsie. Będzie mógł zresztą do ciebie przyjeżdżać w weekendy – na koszt klubu.

E: Którego klubu?!

P: Proponuję fifty-fifty.

E. Czy tobie Krzysiu ta sytuacja nie kojarzy się z niedawnymi wydarzeniami sejmowymi?

P: Coś ty! Przecież ta Bejger z Samopomocy, ta niewydarzona maturzystka przy kości, to mały pikus w porównaniu z tobą! Ty jesteś smukła, masz w oczach elfiki, a owies jadasz z umiarem! Poza tym nikt nas przecież nie nagrywa!

E: Żebyś się nie zdziwił...

GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2

ADRES KORESPONDENCYJNY : skr. poczt. 76, 80–325 Gdańsk 37

REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. nacz.), Krzysztof Papierkowski,

Marcin Szklarski, Michał Szklarski

OKŁADKA: Sławomir Wojtowicz

GRAFIKI: Piotr Terszel (6)

KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYNIA nr 52 1020 1853 0000 9902 0067 8359

Nakład 400

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

INFORMATOR
210